

Georges Bataille

UMIŁOWANIE PRAWDY I SPRAWIEDLIWOŚCI A SOCJALIZM MARCELA PROUSTA¹

Ci, którzy miłują prawdę i sprawiedliwość, doznają niezwykłych uniesień.
Ci, którzy miłują?

Czyż człowieczeństwo nie jest tożsame z pragnieniem prawdy i sprawiedliwości? Pragnienie to nie jest równo rozdzielone między ludzi, wyznacza ono jednak ową miarę, wedle której każdy z nas jest człowiekiem, wedle której przypisać nam można ludzką godność. Marcel Proust pisał w *Janie Santeuil*: „(...) z głębokim i radosnym wzruszeniem słuchano tych niezwykłych i odważnych słów ludzi nauki, kierujących się po prostu zasadami etyki zawodowej i przybyłych tu, aby bez wahania stwierdzić prawdę tylko dlatego, że była to prawda, którą nauczyli się cenić w znanej sobie dziedzinie wiedzy, i nic ich nie obchodziło, że mogą w ten sposób wywołać niezadowolone ludzi, którzy kierując się względami całkiem innej natury, lecz dla owych uczonych najzupełniej nieistotnymi, uważali, że prawda wygląda całkiem inaczej”². Styl i treść tego zdania wydają się odległe od *Poszukiwania*... W książce tej styl się zmienia, myśl natomiast nie podlega zmianie. „Takie właśnie uczucie (...) przenika nas, gdy czytając Fedona śledzimy tok rozumowania Sokratesa i spostrzegamy nagle z najwyższym zdumieniem, że czystości owego toku nie zamąci jakikolwiek wzgląd na sprawy osobiste, jak gdyby prawda była wyższa nad wszystko: w istocie bowiem spostrzegamy, że Sokrates na podstawie owego rozumowania dochodzi do wniosku, iż powinien umrzeć”³.

Marcel Proust pisał o aferze Dreyfusa około roku 1900. Jego prodreyfusowska postawa jest znana, jednak w dziesięć lat później, gdy pisał *Poszukiwanie*..., wyzywał

¹ Przedruk z: G. Bataille, *Literatura a zło*, przekł. M. Wodryńska-Walicka, przedm. Z. Bieńkowski, Oficyna Literacka, Kraków 1992, s. 101–112.

² M. Proust, *Jan Santeuil*, przekł. P. Hertz, t. I, Warszawa 1969, s. 434.

³ *Ibidem*, s. 424–425.

się już swej agresywnej naiwności. Sami utraciliśmy już dziś tę prostotę. Opanowują nas czasem takie same namiętności, jesteście jednak zmęczeni. Być może, w naszych czasach aferze Dreyfusa nie towarzyszyłby nawet specjalny rozgłos...

Czytając *Jana Santeuil* dziwimy się, jak wielką wagę przypisywał wówczas Marcel Proust polityce: miał trzydzieści lat. Wielu czytelników ze zdziwieniem ujrzy młodego Marcela wrzącego gniewem, ponieważ asystując w posiedzeniu Izby nie mógł przyklaskiwać słowom Jauresa. W *Janie Santeuil* Jaures nosi nazwisko Couzon. Jego włosy są czarne i kędzierzawe, autor nie pozostawia jednak żadnych wątpliwości: to „przywódca partii socjalistycznej w Izbie (...) jedyny wielki obecnie mówca (...) godny najznakomitszych oratorów przeszłości”. Pisząc o nim Proust przypomina to „poczucie sprawiedliwości, które ogarniało niekiedy Couzona niby rodzaj natchnienia”⁴; opisuje „obrzydliwych głupców” – deputowanych większości – „ironicznych, korzystających z liczebnej przewagi i z potęgi własnej głupoty, starających się zagłuszyć wibrujący, gotowy do śpiewu głos Sprawiedliwości”⁵. Temperatura tych uczuć dziwić musi tym bardziej, że są one udziałem człowieka, który w planie politycznym winien być choćby z pozoru umiarkowany. Obojętność, w której się pograżył, miała wiele przyczyn; pomijając już obsesje seksualne, burżuazja, do której należał, zagrożona była przez ruch robotniczy; przenikliwość odegrała jednak swoją rolę w ograniczeniu tych rewolucyjnych zapałów.

Zaznaczmy na początku, że zapał ten opierał się na nastrojach niewiele mających z polityką wspólnego: to „niechęć rodziców wywoływała w nim uczucie bezgranicznego entuzjazmu do wszystkiego, co robił Couzon”⁶. Prawdą jest, że narrator nazywa się Jan Santeuil, charakter jego nie różni się jednak od charakteru autora *Poszukiwania...*. Wiemy teraz to, czego bez ogłoszenia *Jana Santeuil* do dziś dnia nie bylibyśmy świadomi, to, że Proust w swojej młodości skłaniał się ku socjalizmowi. Nie znaczy to, iżby skłonność ta wolna była od zastrzeżeń: „(...) gdy był sam i gdy rozmyślał, Janek dziwił się, że Couzon toleruje w partyjnych dziennikach, a nawet w swoich przemówieniach pozwala sobie na tak gwałtowne, może nawet oszczercze, niemal okrutne ataki względem pewnych członków większości”⁷. Nie są to najistotniejsze przeszkody, które napotyka prawda w polityce bieżącej. Przeszkody te były jednak znane od dawna. Sposób, w jaki Proust je wyraża, uznać by można za banalny, gdyby nie był aż tak niezręczny: „Życie bowiem, a przede wszystkim polityka, jest przecież walką, skoro więc niegodziwcy są w niej uzbrojeni po zęby, sprawiedliwi też muszą się tak uzbroić, choćby dlatego, aby nie dopuścić do zagłady sprawiedliwości. Można na to odpowiedzieć, że wbrew naszym potocznym wyobrażeniom sprawiedliwość nie jest bynajmniej odosobniona w jakiejś określonej postaci i ma to do siebie, iż ginie właśnie wtedy, kiedy jest uzbrojona, wszystko

⁴ *Ibidem*, s. 278–279.

⁵ *Ibidem*, s. 280.

⁶ *Ibidem*, s. 280.

⁷ *Ibidem*, s. 280.

jedno w jaki sposób. Ale na to, mój czytelniku, odpowiedzą ci z kolei, że gdyby wielcy rewolucjoniści mieli takie skrupuły, sprawiedliwość nigdy nie odniosłaby zwycięstwa⁸.

Od samego początku dręczy go niepewność. Jest zresztą sprawą zupełnie oczywistą, że jego wątpliwości miały charakter dość ulotny. Niepokoiliły go jedynie. Jeśli nawet mógł o nich zapomnieć, to zapomnienie owo poprzedzone było jednak określeniem ich sensu i wyłożeniem własnych racji. W piątej części *Jana Santeuil* Jaures, który „czerveniał się ze wstydu na samą myśl, że mógłby podać rękę komuś nieuczciwemu⁹”, on, który w głównej części powieści stanowił dla Janka (bohatera książki) „wzór prawości”, nie mógł jednak pewnego dnia „powstrzymać się od łez na myśl, ile musi poświęcić, wypełniając obowiązki przywódcy stronnictwa¹⁰”. Narracja książki wymagała, by w zasadzie Jaures-Couzon mógł przeciwstawić się oszczerzej kampanii skierowanej przeciw ojcu Janka. Działacz polityczny nie mógłby, niezależnie od uczuć, jakimi obdarza go autor, „obrócić przeciw sobie wszystkich, którzy walczyli po jego stronie, zrujnować dzieło swojego życia i zaprzepaścić triumf swoich ideałów po to tylko, aby podjąć – co zresztą musiałoby się skończyć porażką – próbę rehabilitacji jakiegoś członka stronnictwa umiarkowanego, który padł ofiarą niesłusznych podejrzeń”. „Ożywiało go namiętne dążenie do prawości, toteż, zdając sobie sprawę, jak wielkie przeszkody stoją na drodze do jej zwycięstwa, musiał uzgodnić swoje działanie z programem potężnego stronnictwa i w zamian za poparcie, z którego korzystał, wyrzec się własnych poglądów na dobro i zło¹¹”. Słowa Janka, słowa, które pochodzą z czasów, gdy tego typu przeciwieństwa miały jeszcze sens, stanowią konkluzję, której prostota za naszych dni wydawać się musi zaskakująca: „Poświęca pan dobro ogółu nie tyle dla osobistej przyjaźni, co dla osobistej korzyści, dla swojej pozycji działacza politycznego. Tak, poświęca pan dobro ogółu dla tego właśnie celu. Dziennikarze, krzywdząc mojego ojca, są bowiem nie tylko krzywdzicielami, ale sprawiają, że wszyscy ci, co czytają ich artykuły, stają się krzywdzicielami. Pod ich wpływem ludzie będą mieli ochotę przeczytać nazajutrz, że jeden z ich bliźnich, którego uważano za uczciwego, jest człowiekiem nieuczciwym... Wiem dobrze, że ci ludzie pewnego dnia obejmą władzę. Ale ta władza będzie panowaniem niesprawiedliwości. Tymczasem, zanim zaprowadzą niesprawiedliwe rządy i ustawy, zanim rozpocznie się panowanie niesprawiedliwości, przygotowują w sercach ludzkich dzieje jej zwycięstwa, siejąc oszczerstwa, upodobanie do skandalu i okrucieństwa¹²”.

⁸ *Ibidem*, s. 284.

⁹ *Ibidem*, s. 375.

¹⁰ *Ibidem*, s. 377.

¹¹ *Ibidem*, s. 375.

¹² *Ibidem*, s. 383.

Moralność związana z transgresją prawa moralnego

Ten posmak naiwności zaskakuje u pisarza, którego trudno oskarżać o naiwność. Czy możemy jednak traktować poważnie to, co wydawało się wówczas stanowić istotę jego myśli? Mamy wyznanie idące za pierwszym impulsem... Nikogo nie zdziwią słowa, zawarte w II tomie *Jana Santeuil*: „(...) nieraz piszemy w listach: «Tylko kłamstwo jest naprawdę czymś haniebnym i może przynieść ujmę istocie, którą Bóg stworzył na swój obraz i podobieństwo», co bynajmniej nie świadczy, że tak rzeczywiście myślimy, tylko że pragniemy, aby ukochana nas nie okłamywała”. Proust pisze dalej: „Janek nie przyznał się pani S., że odczytywał jej listy przez kopertę, ale nie mogąc się powstrzymać, aby jej nie powiedzieć, iż wie, że był u niej jakiś młody mężczyzna, dodał, że mówił mu o tym ktoś, kto widział owego mężczyznę: a więc po prostu skłamał. Ale to mu nie przeszkodziło powtarzać jej ze łzami w oczach, że kłamstwo jest jedyną rzeczą naprawdę okropną (...)”¹³. Oskarżyciel Jauresa pod wpływem zazdrości sam staje się cyniczny. Owa naiwna pierwotna uczciwość jest wszakże faktem godnym zastanowienia. Poszukiwanie pełne jest świadectw cynizmu Marcela, który – powodowany zazdrością – ucieka się do różnych perfidnych machinacji. Te zachowania, tak rozbieżne, które początkowo zdawały wykluczać się wzajemnie, składają się jednak na pewną całość. Pozbawieni skrupułów – nie dbając o przestrzeganie surowych zakazów – przestajemy być istotami ludzkimi. Nie jesteśmy jednak w stanie przestrzegać owych zakazów zawsze, nie zdobywając się czasem na odwagę ich przekroczenia; nie mielibyśmy wyjścia. Dodać tu należy, że pozbawieni bylibyśmy cech ludzkich, gdybyśmy nigdy nie skłamali, gdybyśmy się nie zdobyli na to, by choć raz popełnić niesprawiedliwość. Drwimy sobie ze sprzeczności między powszechnym zakazem mordu a wojną, która, choć zakazana, cieszy się powszechną akceptacją. Mord wszędzie łączy się ze zgrozą i wszędzie czyny wojenne są w wielkiej estymie. To samo dzieje się w przypadku kłamstwa i niesprawiedliwości. Prawdą jest, że zakazy bywały gdzieś surowo przestrzegane, lecz ten lękliwy, który nigdy nie odważył się przekroczyć prawa, który spuszcza oczy, wszędzie jest jednak przedmiotem pogardy. W samym pojęciu męskości tkwi obraz człowieka, który, w ramach swoich ograniczeń, świadomie, lecz bez lęku i nie myśląc o tym nawet, potrafi wznieść się ponad prawo. Jaures, podporządkowując się wymogom sprawiedliwości, nie tylko zaszkodziłby swym zwolennikom: owi zwolennicy uważaliby go wówczas za niezdarę. Jedno z niepisanych praw męskości nakazuje nigdy nie odpowiadać, odmawiać wyjaśnień. Winniśmy być lojalni, dokładni, bezinteresowni, lecz odrzucając owe skrupuły, ową bezinteresowność i lojalność, nade wszystko winniśmy być suwerenni.

Konieczność przekroczenia, choćby jednorazowego, jakiegoś prawa, nawet gdyby to było prawo święte, nie oznacza bynajmniej unicestwienia rządzącej tym prawem zasady. Notoryczny kłamca, który kłamiąc utrzymywał, iż „jedyną rzeczą

¹³ *Ibidem*, t. II, s. 290.

haniebną” jest „kłamstwo”, mógł aż do swej śmierci być ożywiony namiętym umiłowaniem prawdy. Emanuel Berl opisuje związane z tym wzruszenie: „Pewnej nocy, wychodząc od Prousta około trzeciej nad ranem (było to podczas wojny), jeszcze bardziej niż zwykle wyczerpany rozmową, która przekraczała moje możliwości zarówno fizyczne jak i intelektualne, całkiem wytracony z równowagi, znalazłszy się sam na bulwarze Haussmanna miałem wrażenie, jakbym już całkiem opadł z sił. Wydaje mi się, że byłem równie nieprzytomny, jak po zawaleniu się mego schronienia w Bois-de-Pêtre. Wszystko wydawało mi się zupełnie nieznośne, poczawszy ode mnie, wycieńczonego, zawstydzonego własnym wycieńczeniem. Myślałem o tym człowieku, który prawie nic nie brał do ust, którego dusiła astma i dręczyła bezsenność, a który, pomimo wszystko, prowadził dalej swoją walkę, walcząc jednocześnie z kłamstwem i ze śmiercią, nie cofając się przed niczym, ani przed analizą ani przed trudnościami w sformułowaniu jej rezultatów, który podjął się jeszcze dodatkowo zadania, by zmniejszyć nieco gnuśny zamęt panujący w moich poglądach. Łatwiej mi było znieść tkwiący we mnie chaos niż inercję pozwalającą mi się z nim godzić...”. Pragnienie to nie jest sprzeczne z przekroczeniem w jakimś punkcie zasady, której jest podporządkowane, wręcz przeciwnie. Jest ono zbyt przemożne na to, by zasada była w tym momencie zagrożona, nawet wahanie stanowiłoby tu wyraz słabości. U podstaw cnoty leży właściwa nam moc kruszenia jej oków. Tradycyjne nauczanie pomijało milczeniem ten ukryty aspekt moralności: idea moralności została tym samym pozbawiona ostrości. Z punktu widzenia cnoty życie moralne ma w sobie coś z tchórzliwego konformizmu; z drugiej zaś strony, pogarda dla nijakości uważana jest za niemoralność. Tradycyjne nauczanie na próżno domaga się powierzchownej surowości opartej na logicznym formalizmie: ignoruje ono samą istotę tej surowości. Nietzsche atakując moralność tradycyjną myślał jednocześnie, że nie byłby w stanie przeżyć popełnionej przez siebie zbrodni, jeśli istnieje jakaś moralność autentyczna, to jej istnienie jest zawsze chwiejne. Prawdziwa nienawiść do kłamstwa zakłada ryzyko całkiem konkretnego kłamstwa, do którego będziemy się musieli uciec, nawet gdyby nam przyszło przezwyciężyć odrazę. Obojętność wobec ryzyka łączy się z faktem, iż to ryzyko wydaje nam się niewielkie. Jest to odwrotność erotyzmu zakładającego potępienie: bez owego elementu potępienia erotyzm stałby się mdły. Idea niewzruszonych praw moralnych pozbawia siły tę prawdę moralną, która jest naszą prawdą nie będąc nam zniewoleniem. W erotycznym występku czcimy regułę, którą właśnie gwałcimy. Ta powtarzalność odradzających się przeciwieństw leży u podstaw powracającego cyklu wierności i buntu stanowiącego istotę człowieka. Poza ową grą dusimy się w trybach logiki praw.

Zbrodniczy sens erotyzmu podstawą rozkoszy

Proust przekazał nam swoje doświadczenie życia erotycznego, nadając zrozumiałą formę owej grze fascynujących przeciwieństw.

W sposób dość arbitralny dopatrywano się niegdyś patologii w zestawieniu świętego obrazu matki ze zbrodnią i z bluźnierstwem¹⁴. „Podczas gdy rozkosz ogarniała mnie coraz bardziej – pisał autor *Poszukiwania...* – czułem, jak w głębi mego serca budzi się nieskończony smutek i rozpacz: zdawało mi się, że to przeze mnie płacze dusza mojej matki...”. Rozkosz uzależniona była od tego momentu grozy. W jakimś momencie *Poszukiwania...* matka Marcela znika, choć autor nigdy później nie wspomina o jej śmierci: opisuje jedynie śmierć babki. Jak gdyby śmierć samej matki nabrała dla niego zbyt silnego znaczenia: w związku z babką wyznaje: „porównując śmierć mojej babki i śmierć Albertyny odniosłem wtedy wrażenie, że moje życie zostało splamione podwójnym morderstwem”. Do skazy morderstwa dołączyła się jeszcze skaza poważniejsza, grzech profanacji. Z wielu powodów należy zatrzymać się nad tym fragmentem *Sodomy i Gomory*¹⁵, w którym Proust pisze, że „synowie”, nie zawsze będąc podobni do ojca, „(...) ziszczają w twarzy profanację własnej matki”. Tu się zatrzymamy, autor bowiem konkluduje: „Ale poniechajmy tutaj to, co zasługiwałoby na osobny rozdział: sprofanowane matki”. W rzeczy samej, kluczem do tego tytułu rodem z tragedii jest epizod dotyczący córki Vinteuil, której występne zachowanie sprawiło, iż ojciec jej umarł ze zgryzoty. W kilka dni później, jeszcze w żałobie, poddaje się ona pieczętom homoseksualnej kochanki, która pluje na fotografię zmarłego¹⁶. Córka Vinteuil uosabia Marcela, a Vinteuil – jego matkę¹⁷. Zainstalowanie w domu rodzicielskim, jeszcze za życia ojca, kochanki panny Vinteuil odpowiada tu zamieszkaniu przez Albertynę w domu narratora (Albertyna to w rzeczywistości szofer Albert Agostinelli). Panuje całkowite milczenie na temat reakcji matki na obecność intruza w domu, milczenie pozostawiające nas w kłopotliwej niewiedzy. Myślę, że nie ma czytelnika, który nie zwróciłby uwagi na niedoskonałość opowieści w tym właśnie miejscu. Z drugiej strony zaś, cierpienie i śmierć Vinteuil ukazane są z całą mocą. Proust jakby zawiesił zasłonę nad tym, co odtwarzają fragmenty dotyczące Vinteuil, których lektura robi rozdzierające wrażenie wówczas, gdy zamienimy imiona: „Tym, którzy, jak my, patrzyli w owej epoce na pana Vinteuil (matkę Marcela), jak unika znajomych, jak się odwraca, kiedy ich spotyka, postarzały (postarzała) w ciągu kilku miesięcy, zagrzebany (zagrzebana) w swej zgryzocie, niezdolny (niezdolna) do żadnego wysiłku nie mającego wprost na celu szczęścia córki (syna), jak spędza całe dnie na grobie żony (męża) – trudno byłoby nie pojąć, że umiera ze zgryzoty, lub przypuszczać, że sobie nie zdaje sprawy z krążących gadań. Znał (Znała) je, może nawet dawał (dawała) im wiarę. Nie ma może istoty, bodaj najświętszej, której splot okoliczności nie mógłby doprowadzić do zżycia się z występkiem. Może go potępiać najbardziej stanowczo – nie poznając

¹⁴ A. Fretet, *L'Aliénation poétique. Rimbaud, Mallarmé, Proust*, Janin 1946.

¹⁵ *Ibidem*, s. 239.

¹⁶ M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, t. I, *W stronę Swanna*, przeł. T. Żeleński (Boy), Warszawa 1979, s. 156.

¹⁷ Od dawna już Marie-Anne Cochet i Henri Massis zaproponowali taką identyfikację, którą możemy uznać za ogólnie przyjętą.

go zresztą całkowicie w kostiumie poszczególnych faktów, jaki przybiera, aby się jej narzucić i zadać jej ból: dziwaczne słowa, niewytłumaczone zachowanie się któregoś wieczora u kogoś, kogo skądinąd ma się tyle przyczyn kochać! Ale dla kogoś takiego jak Vinteuil (matka Marcela) boleśniejsze niż dla kogokolwiek innego musiało być pogodzenie się z sytuacją, którą niesłusznie uważa się za wyłączny przywilej cyganerii; sytuacja ta powtarza się za każdym razem, kiedy przywara szuka sobie miejsca i bezpieczeństwa, koniecznych dla niej. Skazę tę rozwija w dziecku sama natura... Ale z tego, że Vinteuil (matka Marcela) znał (znała) może prowadzenie się córki (syna), nie wynika, aby jego (jej) kult dla niej (niego) miał się zmniejszyć. Fakty nie wnikają w świat, w którym żyją nasze wierzenia; nie zrodziły ich i nie niszczą...”¹⁸. W ten sam sposób winniśmy odczytać następuny fragment *Poszukiwania...* odnosząc do Marcela to, co autor pisze o pannie Vinteuil: „(...) w sercu panny Vinteuil (Marcela) zło, w początkach przynajmniej, nie było zapewne bez domieszki. Taka jak ona sadystka jest artystką złego (taki jak on sadysta jest artystą złego), którą (którym) istota zupełnie zła nie mogłaby być, bo zło nie było dla niej czymś zewnętrznym; wydawałoby się jej całkiem naturalne, nie wyodrębniałoby się nawet od niej. Cnoty, pamięć zmarłych, pietyzm dziecka nie byłyby dla niej przedmiotem kultu, tym samym nie znajdowałyby świętokradzkiej rozkoszy w ich profanowaniu. Sadyści w rodzaju panny Vinteuil (Marcela) to są istoty tak wyłącznie uczuciowe, tak z natury cnotliwe, że nawet rozkosz zmysłów wydaje się im czymś złym, przywilejem złych. I kiedy zdobędą się na to, aby się jej poddać na chwilę, wówczas starają się wejść w skórę ludzi złych i wcisnąć w nią swego współnika, aby mieć złudzenie, że się wymknęli na chwilę ze swojej duszy, delikatnej i czulej, w nieludzki świat rozkoszy”¹⁹. Proust pisze jeszcze w *Czasie odnalezionym*: „(...) istnieje skądinąd u sadysty – choćby nawet u najzacniejszego, mało, im jest zacniejszy – łaknienie zła, którego źli działający w innych celach nie potrafią zaspokoić”. Podobnie jak groza jest miarą miłości, tak też pragnienie Zła jest miarą Dobra.

Czytelność tego obrazu jest fascynująca. Pozwala nam na uchwycenie tych zjawisk w ich wzajemnym powiązaniu.

Wydaje się, że Zło można pojąć jedynie pod warunkiem, że kluczem do jego zrozumienia jest Dobro. Gdyby olśniewająca intensywność Dobra nie użyczala pomrokom Zła ich czerni, Zło nie posiadałoby swej uwodzicielskiej mocy. Trudna to prawda, wywołująca uczucie buntu w tym, kto ją pojmuje. Wiemy wszelako, że najsilniejsze porywy zmysłowości rodzą się pod wpływem kontrastów. Wszelkie życie zmysłowe opiera się na strachu, który samiec wzbudza u samicy, i na brutalnej walce, którą jest kopulacja (jest to bardziej gwałt niż harmonia, gwałt, który może doprowadzić do harmonii, ale ona stanowi tu już czynnik dodatkowy). Po pierwsze, konieczne jest zerwanie, jedność znaczy bowiem koniec walki, w której stawką jest

¹⁸ M. Proust, *W poszukiwaniu...*, t. I, s. 142–143.

¹⁹ Fragmenty *W poszukiwaniu straconego czasu* przytaczam w przekładzie T. Żeleńskiego, fragment z *Czasu odnalezionego* w przekładzie Juliana Rogozińskiego [przyp. tłum.].

śmierć. W jakimś sensie bolesny aspekt miłości wywodzi się z jej rozlicznych metamorfoz. Jeśli miłość bywa czasem różowa, to kolor różowy harmonizuje z czarnym, bez którego różowość oznaczać by mogła mdły banał. Czy pozbawiony czerni kolor różowy posiadałby właściwość oddziaływania na nasze zmysły? Szczęście szybko by nam zobojętniało, gdyby pozbawić je uczucia nieszczęścia, sprzęgniętego z nim jak cień ze światłem. Jest to aż tak prawdziwe, że romanse rozpisują się w nieskończoność o cierpieniach, prawie nigdy o radościach. W końcu cnota szczęścia wynika ze swej rzadkości. Jako łatwe, szczęście byłoby pogardzane, kojarzone z nudą. Tylko transgresja zasady posiada ten nieodparty urok, którego pozbawiony jest stan długotrwałej szczęśliwości.

Najmocniejsza strona *Poszukiwania...* (która stawia je na równi z najczarniejszą tragedią) nie miałyby tego głębokiego znaczenia, jakie jej przypisujemy, gdyby ów aspekt pierwszy pozbawiony był swojego odpowiednika. Jeśli po to, by ukazać pożądanie, kolor różowy wymaga skonstrastowania z czarnym, to czy ta czerń byłaby wystarczająco czarna, gdybyśmy nie byli uprzednio ożywieni dążeniem do czystości? gdyby czerń – wbrew nam – nie rzuciła już wcześniej cienia na nasze marzenie? Nieczystość poznajemy jedynie jako przeciwstawienie się tym, którym się wydaje, że nie mogą się obyć bez jego przeciwieństwa, czystości. Absolutne pragnienie występku, które Sade pojmował w sposób sztuczny, prowadziło go do stanu przesytu, w którym każde wrażenie jest wrażeniem przytępionym, w którym oddalała się jakby sama możliwość rozkoszy. Niezmierzone zasoby ofiarowywane mu przez literaturę (wymagowane sceny z powieści) nie były w stanie go zadowolić. Brakowało mu w nich owej ostatecznej rozkoszy ofiarowywanej przez poczucie moralne, które nadaje występkom szczególnego, zbrodniczego posmaku, bez którego wydawały się one naturalne, bez którego są naturalne. Proust, bardziej zręczny od Sade'a, a równie żądny użycia, pozostawił występki odrażające cechy występku, potępienie przez cnotę. Złoczyńca zna tylko ten rodzaj Zła, który łączy się z zyskiem materialnym. Jeśli upatruje zła w swym bliźnim, to po to, by owo zło okazało się jego własnym egoistycznym dobrem. Z owych zawłości, w których kryje się Zło, możemy wybrnąć jedynie wówczas, gdy uchwycimy związek między przeciwieństwami, które nie mogą się wzajemnie bez siebie obejść. Wykazałem najpierw, że szczęście samo w sobie nie jest bynajmniej godne pożądania i że rozplątać się musi w nudzie, jeśli nasze pragnienie szczęścia nie zostało wcześniej ożywione przez doświadczenie Zła lub nieszczęścia. Sytuacja odwrotna jest równie prawdziwa: gdybyśmy nie doświadczyli, podobnie jak Proust (a być może również podobnie jak sam markiz de Sade), pragnienia Dobra, Zło jawiłoby się nam jako ciąg obojętnych wrażeń.

Sprawiedliwość, prawda i namiętność

Wynikiem tego nieoczekiwanego zestawienia jest sprostowanie potocznej opinii, która, przeciwstawiając Dobro Złu, czyni to w sposób powierzchowny. Jeśli Dobro i Zło są wartościami komplementarnymi, nie wynika stąd jednak, że są równoważne.

Nie mylimy się dokonując rozróżnień między zachowaniami godnymi z ludzkiego punktu widzenia pochwałą a tymi, które określamy jako odrażające. Przeciwnieństwo tych zachowań nie jest jednak tym przeciwieństwem, które zachodzi w teorii między Dobrem a Złem.

Niefortunną cechą naszej tradycji jest fakt, iż opiera się ona na słabości, która bierze pod uwagę troskę o przyszłość. Troska o przyszłość podsyca skąpstwo; potępia ona brak przezorności prowadzący do marnotrawstwa. Przezorna słabość sprzeciwia się zasadzie używania życia i radowania się przemijającą chwilą. Moralność tradycyjna opowiada się za skąpstwem, upatrując korzeni Zła w dążeniu do natychmiastowego zaspokojenia. Moralność skąpca stanowi podstawę przymierza między sprawiedliwością a policją. Jeśli opowiadam się za używaniem życia, wówczas nienawidzę represji. Paradoks sprawiedliwości polega na tym, że moralność skąpca odwołuje się do ciasnych zasad represji. Moralność wielkoduszna widzi w nich natomiast pierwszy odruch tych, którzy chcą, by każdy miał to, co mu się należy, którzy spieszą na pomoc ofiarom niesprawiedliwości. Czyż sprawiedliwość pozbawiona owej wielkoduszności mogłaby wibrować? i któż mógłby pisać o gotowym do śpiewu głosie Sprawiedliwości?

Na podobnej zasadzie, czyż prawda byłaby tym, czym jest, gdyby nie opowiadała się wielkodusznie przeciw kłamstwu? Często umiłowanie prawdy i sprawiedliwości oddala się od tych miejsc, w których jej głos utożsamiany jest z krzykiem rozpolitykowanego tłumu. Tłum bowiem pod wpływem szlachetności doznaje czasem uniesień, czasem zaś doznaje zgoła przeciwnych impulsów. Toczy się w nas nieustająca walka między wielkodusznością a odruchem skąpstwa, podobna do tej, która namiętności przeciwstawia wyrachowane rozumowanie. Nie możemy jednak ślepo zdawać się na namiętność, która równie dobrze obejmować może skąpstwo, szlachetność przekracza jednak rozum i zawsze jest namiętna. Tkwi w nas coś namiętnego, szlachetnego i świętego, co przerasta przedstawienia rozumu: to właśnie ów przerost czyni nas ludźmi. Na próżno mówilibyśmy o sprawiedliwości i o prawdzie w świecie zaludnionym przez inteligentne automaty.

Prawda wzbudziła gniew Marcela Prousta dlatego właśnie, że ujrzał w niej coś świętego. Jego reakcją był wybuch, który przeraził Emanuela Berla. Berl w sposób przejmujący²⁰ opisuje scenę, w której Proust wypędził go ze swojego domu krzycząc: „Proszę wyjść! Proszę wyjść!”. Berl, który właśnie zamierzał się ożenić, wydawał mu się stracony dla prawdy. Czy było w tym szaleństwo? Być może, lecz czy prawda nie objawia się temu właśnie, kto kocha ją do szaleństwa? Przytaczam opis tej namiętnej sceny: „Jego twarz, i tak już blada – pisze Berl – zbladła jeszcze bardziej, jego oczy błyszczały gniewem. Wstał i ubrał się w toalecie. Musiał wyjść. Uderzyła mnie energia tego chorego człowieka. Do tej chwili nigdy nie zwróciłem na to uwagi. Jego włosy były o wiele ciemniejsze i o wiele bardziej gęste niż moje, zęby bardziej wytrzymałe, jego ciężka szczęka wydawała się ruchliwa, jego klatka

²⁰ W Sylwii, s. 152.

piersiowa, niewątpliwie rozdęta przez astmę, uwypuklała szerokość jego ramion²¹. Jeśliby miało dojść do rękoczynów, jak przez sekundę myślałem, to nie byłem pewien wygranej”. Prawda – i sprawiedliwość – wymagają spokoju, a tymczasem są udziałem gwałtowników.

Właściwe nam chwile uniesień oddalają nas, co prawda, od bardziej brutalnych aspektów walki politycznej, nie można jednak zapominać, że czasem lud bywa ożywiany gniewem szlachetnym. To nieoczekiwane, lecz znaczące: Proust sam zwrócił uwagę na specyfikę policji niedającą się pogodzić z wielkoduszością ludu. Sam opętany przez prawdę, tak oto wyraził pasję sprawiedliwości, która pewnego razu go ogarnęła: nagle wyobraził sobie, że „z gniewnym zapałem pragnął odeprzeć wszystkie ciosy, które spadły na słabszego – jak owego dnia, gdy dowiedziawszy się, że policja otoczyła wskazanego jej złodzieja i związała go, mimo iż stawał rozpaczliwy opór, zapragnął być tak silny, aby móc zmasakrować owych policjantów...”²². Wzruszył mnie odruch buntu, tak nieoczekiwany ze strony Prousta. Dostrzegam w nim połączenie gniewu, który tłumi powolna refleksja, i mądrości, bez której wszelki gniew jest bezsilny. Jeśli mroki gniewu i światłość mądrości nie połączą się w końcu, w jaki sposób będziemy mogli odnaleźć się w tym świecie? Lecz oto na szczycie skupiają się rozproszone fragmenty: pojmujemy prawdę, którą ustanawiają wspólnie dwa przeciwieństwa, Dobro i Zło.

²¹ Jedną z ostatnich fotografii Marcela Prousta w istocie wydaje się odpowiadać temu zadziwiającemu opisowi. Zob. G. Cattau, *Marcel Proust*, Julliard 1952, s. 177.

²² M. Proust, *Jan Santeuil...*, t. I, s. 318.